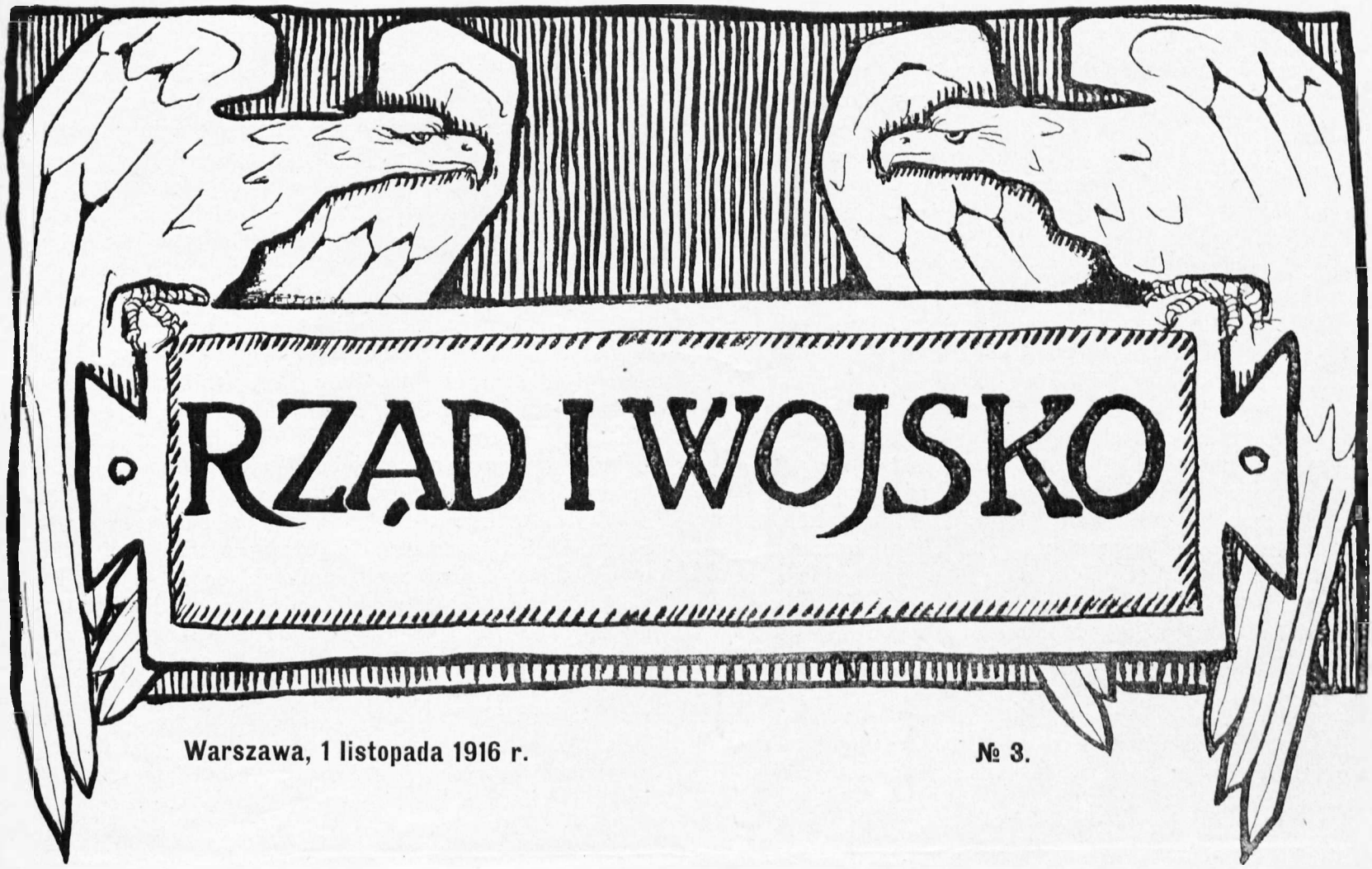

Warszawa, 1 listopada 1916 r. № 3.

Gdzie są granice zupełnej już niemożności, tam się dopiero kończą obowiązki obywatela.
Walerjan Dzieduszycki.

Naczelny Komitet Narodowy.

Nadeszła już chwila, żeby na największą czasu wojny cywilno-polityczną instytucję Polski walczącej rzucić okiem krytycznem i chłodnem. Ustalić jej źródła, ocenić jej pożyteczność, zważyć, skoro zajdzie potemu potrzeba, jej braki i szkody, jakie stąd mogą wypłynąć. Potrzeba tem pilniejsza, gdy sami jej członkowie i twórcy stawiają jeden wielki znak zapytania nad wartością pracy przez siebie dokonanej, gdy lada chwila dojść mogą do rozdroża, z którego nie wszyscy już pójdą drogą tą samą.

Próżnem byłoby twierdzić, że między polskim porywem do czynu a Naczelnym Komitetem Narodowym niema różnic, sięgających aż do samego dna sprawy. Błędem i szkodą byłoby wyprowadzać stąd wniosek, że różnice te dają w wyniku taką przeciwstawność poglądów, dla której trzeba się zwalczać śmiertelnie, która wyłącza wszelkie porozumienie i sprawiedliwą ocenę.

Gdy się mówi o N. K. N-ie, trzeba cofnąć się aż do jego początków. Był kompromisem od pierwszej chwili swego powstania. Kompromisem pomiędzy rwącą naprzód poprzez wszystkie przeszkody, na nic nieoglądającą się falą czynu zbrojnego a ludźmi, którzy z urodzenia, z długoletniego nałogu, z pozycji społecznej przywykli byli załatwiać półśrodkami najważniejsze sprawy i zagadnienia narodu, trzymać się ścieżek utartych i łatwych, redukować wielkość zagadnienia odradzającej się Polski do swoich skromnych form dzielnicowych. W tym kompromisie mieściło się w zarodku wszystko: Cała siła moralna, jaką N. K. N. rozporządzał,—gdy świetny blask rycerskiego czynu ozłacał jego zabiegi i prace, gdy zjednywał mu serca, gdy w programie jego dźwięczał tonem najmocniejszym, najzdrowszym. Cała jego słabość i połowiczność, słabość nieunikniona, jeśli się zechce pamiętać, że wszelki kompromis jest ugodą pomiędzy siłą a jej zaprzeczeniem.

Na razie jak gdyby o tem zapomniano doszczętnie; zwłaszcza w szerokich mniej wyrobionych politycznie kołach zjednoczenie wszystkich stronnictw Galicji brano za wzniosły moment ogólnonarodowego porywu. We współpracy socjalisty, któremu dotychczas przypisywano antynarodowe dążności, z konserwatystą krakowskim widziano rękojmię tęgości ruchu. Nie

uwzględniano, nie znano wreszcie w wystarczającej mierze motywów, które obie strony do pojednania skłoniły.

Było tych motywów kilka. Niejednakowej wartości i ze zgoła odmiennych źródeł płynące, wszystkie one jednak wpływały na zwężenie pierwotnego pomysłu, na odchylenie go z jasnej i prostej drogi, wiodącej do wielkiego celu, do bezwzględnej niezależności Polski. Żywiołom najczynniejszym, tym, którzy ruch zbrojny stworzyli, ludziom 6 sierpnia, kurczyć się zaczął grunt pod nogami. Hasło rzucone Królestwu zamarło w przestrzeni bez echa. Państwa centralne, rozpoczynając wojnę z Rosją, nie osiągnęły odrazu decydującego zwycięstwa, nie zdobyły się nawet na najwyższy decydujący wysiłek. W sprawie polskiej nie ujawniły żadnego programu, co wywierało na tłumy wrażenie, że tają plany dla Polski zabójcze. Prowadzenie samodzielnej walki, opartej na polskich wyłącznie siłach i świadomości celu, było w tych wypadkach niemożliwością. Strona przeciwna, stronnictwa reakcji, rozumiały to aż nadto dobrze. Zwalczając do ostatniego momentu, do chwili wybuchu wojny, polski ruch zbrojny w sposób najzupełniej bezwzględny, potrafiłyby i teraz, w chwili, gdy pierwsze oddziały strzeleckie znalazły się w Królestwie w próżni, wyciągnąć stąd wnioski dla nich zabójcze, poderwać im do reszty nogi, odmawiając poparcia materjalnego, wypierając się jakiejkolwiek ideowej wspólności. Jeżeli co ich powstrzymało od tego, to tylko nacisk zewnętrzny. Bądź co bądź wystąpili strzelcy przeciwko Rosji, przeciwko jawnemu w danym momencie wrogowi monarchji. Dość kłopotliwem, być może nawet mało bezpiecznem byłoby ogłaszać przeciw nim krucjatę. Zwłaszcza, gdy rząd wiedeński niedwuznacznie dał do poznania, że dobrowolny, ochotniczy udział Polaków w tej wojnie jest mu potrzebny. Oczywiście, udział jak najmniej zastrzegający dla siebie samodzielności, jak najmniej wychodzący poza ramy lojalizmu austrjackiego, jak najtańszy, jak najbardziej powolny.

To przesądziło sprawę. Jest już dziś tajemnicą publiczną, że p. Leo, ówczesny prezes Koła Polskiego i pierwszy prezes Naczelnego Komitetu Narodowego, wyjechawszy w pierwszych dniach wojny do Wiednia dla wytłómaczenia się z „szaleńczych“ porywów powstańczych, wrócił stamtąd z entuzjazmem do zbrojnego czynu polskiego, entuzjazmem tem większym, że zalegalizowanym pieczęciami właściwych ministerjów i czynników najwyżej stojących.

Tak rozpoczęto wspólnemi siłami budować Polskę. Polskę o przesądzonej austrjacko-węgiersko-polskiej postaci, bo żadnej innej sobie podówczas rząd wiedeński nie życzył. Dalej iść stronnictwa zachowawcze nie chciały. Dalej iść żywioły niepodległościowe nie mogły, jeżeli nie chciały śmiertelnie się wyczerpać w jałowej i beznadziejnej dyskusji z martwem narodowo podówczas Królestwem.

Ostatecznie nawet w tych ciasnych ramach można było coś nie coś wywalczyć. Dowieść światu i swoim, że nie zardzewiał doszczętnie miecz polski. Dążyć, bodajby w granicach monarchji, do jak największej swobody ruchów. Pierwsze — zależne od żołnierza polskiego — w zupełności, jak najświetniej dowiedzionem zostało niebawem. Drugie — w zależności od galicyjskich polityków — nie tylko nie zostało osiągniętem, ale nie było nawet postawionem mocno i wyraźnie bynajmniej. Nietylko słabą i połowiczną była koncepcja ogólna, słabem i chwiejnem było jej wykonanie. Nawet w wywalczaniu praw, jakieby się nam należały ze względu na wagę i liczebność żywiołu polskiego w monarchji, okazał się prawicowy sojusznik zapaśnikiem mdłym, cofającym się przed użyciem siły nawet tam, gdzie ją mógłby rozwinąć. Nie chciał jej zresztą rozwinąć, żywiąc w sobie głęboko tajoną, ale niczem nieprzezwyciężoną nieufność względem tych sił i ludzi, z którymi wszedł w sojusz, a którym bał się rąk rozpętywać. Stając na gruncie jednego z rozwiązań sprawy polskiej — przyczepienia Polski do Austrji — bał się budzić w kraju i w sobie odporność, któraby mogła zaprowadzić o wiele dalej, do zupełnego uniezależnienia od Austrji tej sprawy. Wykluczał z góry nietylko równorzędne oparcie się o Niemcy, ale i utworzoną z samego Królestwa Polskę, choćby to miała być Polska zupełnie wolna. Zdawał sobie sprawę, że istnienie takiej wolnej Polski o miedzę musiałoby Galicję wprawiać w stan gorączkowy, musiałoby budzić w niej tęsknoty i dążenia, które rząd austrjacki potrafiłby poskramiać bezwzględnie. Osiwiałym w legalizmie austrjackim ekscelencjom krakowskim nie uśmiechała się bynajmniej droga, po której trzebaby było przejść popod austrjackim szafotem. Lojalności dla Polski nie znali, bo Polska jest dotychczas w Europie bezprawiem.

Były pozatem inne jeszcze względy budzące w prawicy galicyjskiej nieufność względem twórców ruchu polskiego. To był dla nich zawsze ten dół, który rwie się do władzy. Władzy zazdrośnie strzeżonej przez długie pokolenia do wyłącznego użytku. Odżywały odwieczne niechęci klasowe, otwierały się przepaście, których żadne frazesy nie mogły były załatać. Trzeba było tych domniemanych rewolucjonistów odsunąć na plan jak najdalszy. Trzeba było wydrzeć im z ręki nawet tę trochę władzy, jaką im dały wypadki, jaka im się należała z niewątpliwej zasługi twórców i wykonawców idei czynu polskiego. Tak się też i stało. Komenda Legjonów przeszła w ręce obce. Czynności kierownicze w samym N. K. N-ie objęły żywioły zachowawcze.

Przedwczesnem dziś jest jeszcze ustalać, kto i w jakim stopniu ponosi tu winę. Jeśli nawet są prawdą krążące pogłoski, przyszłość dopiero będzie mogła sformułować szczegółowy akt oskarżenia przeciw tej części N. K. N-u, która zabiegała o wytrącenie komendy z rąk Piłsudskiego. Na razie dość jest stwierdzić, że N. K. N. jako całość władzy tej Piłsudskiemu zapewnić nie umiał czy nie chciał. Że nie użył po temu wpływów jakimi rozporządzał, że nie wypowiedział się za tem nigdy publicznie. Zrzucanie winy na Austrję jest

śmiesznym wykrętem. Austrja dała już niejednokrotnie dowody, że w interesie swego bezpieczeństwa potrafi się uciec do środków społecznie radykalnych. Nie dali tych dowodów nigdy dotychczas konserwatyści krakowscy.

Takie były grzechy pierworodne Naczelnego Komitetu Narodowego. Nie doprowadziły do natychmiastowego rozbicia, nie ujawniły się dość mocno w pierwszej fazie toczącej się wojny nietylko dla wielkiej, zaiste nazbyt wielkiej ustępliwości lewicy, ale i dlatego, że na razie całą uwagę obozu antyrosyjskiego zaprzątnął inny, istotnie tym razem wspólny wysiłek. Trzy czwarte Królestwa były w ręku rosyjskiem, więcej niż trzy czwarte widziały zbawienie Polski w zjednoczeniu przy Rosji. Trzeba było przedewszystkiem przeprowadzać uświadomienie elementarne, trzeba było przekonywać, że walka z Rosją jest pierwszym, zasadniczym warunkiem wolności. Tę część pracy spełnił N. K. N. wspólnie z żywiołami niepodległościowymi w sposób rzeczywiście sumienny, z całym nakładem sił, jakie miał do swej dyspozycji. Spełnił nietylko przez tysiączne broszury, pisma i wiece, ale co ważniejsza, przez pierwsze w okresie popowstaniowym postawienie sprawy polskiej, przez objęcie swoim programem całości ziem polskich, przez wypowiedzenie słowa, tak długo zakazanego, dość głośno i wyraźnie, by je usłyszała cała Europa walcząca. To czy inne ujęcie zagadnienia odradzającej się Polski, jego austrofilizm, było w danym wypadku rzeczą pomniejszej wagi, skoro na razie dyskusja wobec siedzącej w Warszawie Rosji była zgoła teoretyczną.

Zasadniczo zmieniła się sytuacja dopiero po wzięciu Warszawy. Zwłaszcza, że wzięła ją nie Austrja lecz Niemcy. Po raz pierwszy siłą namacalnego faktu zakwestjonowana została realność programu austrofilskiego. Jeśli nie jawnie, to całkiem wystarczająco wyraźnie ujawnioną została rozbieżność interesów i pożądań obu państw centralnych. Wskazaną została droga, na której Polska, tę rozbieżność mając na oku, może szukać swoich korzyści. Zapytał się, schodząc w głąb sumienia własnego, żołnierz polski, czy mu wolno być tylko ślepem narzędziem. Chciał krew swoją sprzedać państwom centralnym za cenę jedynie dopuszczalną, za cenę wolnej Polski, i zażądał zadatku.

Wszystkie te prawdy, wszystkie te wątpliwości nie istniały dla N. K. N-u. Nie zmienił swego programu, jakkolwiek uporczywe przy nim obstawanie mogło grozić wobec faktycznego zajęcia $^2/_3$ Królestwa przez Niemców jego podziałem. Nietylko nie zdobył się na podniesienie sztandaru bezwzględnej samodzielności, co jest rzeczą biorąc po ludzku dla poddanych austrjackich zrozumiałą, ale nie dopuszczał do podniesienia go przez Królestwo. Trzeba to stwierdzić, z całym spokojem, z całem poczuciem wagi słów, jakie się wypowiada. Wbrew publikowanym po zdobyciu stolicy odezwom, w których oczekiwał samodzielnej decyzji Królestwa, nie dopuszczał N. K. N. do skupienia w niem wszystkich żywiołów antyrosyjskich, wiedząc, że linja, po której obóz ten pójdzie, nie będzie jego linją. Na zawieszenie przez partje niepodległościowe Królestwa werbunku do Legjonów odpowiedział otwarciem biura werbunkowego w Warszawie. Szukając punktu oparcia w Królestwie, nie wahał się wyciągnąć ręki do żywiołów najsłabszych politycznie albo najlichszych narodowo ponad głową niemiłych sobie grup radykalnych, które starał się izolować bezwzględnie. W stosunku do czynników obcych, Naczelnej Komendy Armji czy władz okupacyjnych, utrącał zawsze żądania walczącego w polu żołnierza, czy domagającego się szanowania naszych interesów i naszej godności niepodległościowca, ofertą swą tańszą i wygodniejszą. Błędy i grzechy d. 16 sierpnia r. 1914 powtarzały się w całej rozciągłości. Kompromis pierwotny miał być pogorszony przez kompromis wtórny z tem wszystkiem, co było pod względem gotowości do czynu najmniej odpowiedzialnem. Jak wówczas decydujące były względy nieufności klasowej, obawa nietylko już uronienia z rąk władzy, ale skompromitowania się nowem wspólnictwem z ludźmi niedość dla reakcyjnych gabinetów Wiednia i Berlina pewnymi.

Owoce, jakie sobie tą działalnością N. K. N. wyhodował, nie są zaiste zbyt słodkie. Krwawy „epizod łucki“ wykazał całą bezsilność Austrji, usunął tem samem do lamusa rupieci program jednoczenia Polski przy Austrji. Na ostatniem posiedzeniu Koła Polskiego wspólny prezes Koła i N. K. N-u dr. Biliński był zmuszony wyznać całkiem otwarcie, że inicjatywa w sprawie polskiej przeszła w ręce niemieckie i że Niemcy przeciw pierwotnemu planowi austrjackiemu wysuwają projekt stworzenia Polski, jako państwa samodzielnego. Tem samem upadają resztki wpływów N. K. N-u w Królestwie, w którem zresztą i tak opierał się na jednej słabej liczebnie, chwiejnej politycznie Lidze Państwowości. W Galicji podrywa mu nogi rosnący z dnia na dzień ruch niepodległościowy, w Wiedniu te wszystkie czynniki polskie, które stojąc na stanowisku nie już austrofilskiem lecz wręcz austrjackiem uważały działalność N. K. N-u za awanturę rewolucyjną. Jedynem zwycięstwem, jakie N. K. N., odniósł było usunięcie z Legjonów czynników najoporniejszych jego giętkiej w stosunku do Austrji polityce, zwycięstwem dość zagadkowej zresztą wartości, skoro zagraża to samemu istnieniu Legionów, które są bądź co bądź głównem jeśli nie jedynem uzasadnieniem istnienia Naczelnego Komitetu Narodowego.

Trudno przewidzieć, w jakiej mierze potrafi Naczelny Komitet Narodowy przezwyciężyć piętrzące się przed nim trudności. Mimo wszystko jednak, co przemawiałoby na jego niekorzyść, należy mu się ze strony kierunków niepodległościowych szczere i mocne poparcie. Upadek N. K. N-u nietylko bowiem rozwiązywałby ręce tkwiącym w nim grupom radykalnym do akcji śmielszej, bezwzględnej, ale również wysunąłby na plan pierwszy żywioły najczarniejszej już zaiste reakcji, ludzi zgoła pod względem odpowiedzialności narodowej niepewnych, niewystarczających. Pomimo

wszystko, coby się dało o sferach rządzących N. K. N-em powiedzieć, opowiedziały się one przy sztandarze czynu, umiały ogarnąć okiem Polskę, uszlachetniły się w ten sposób, wchodząc na wyższy, choćby nie przez siebie przygotowany poziom. Nie będąc niewątpliwie doskonałością, był bądź co bądź N. K. N. czemś względnie najlepszem na co było stać w danym momencie Galicję, na co było stać Polskę. Winy jego i błędy leżą nietylko w nim, ale i w sytuacji międzynarodowej, w bezplanowej akcji państw centralnych, w tępej bierności Królestwa, w słabości grup radykalnych.

Zgrzeszył najbardziej, nie dostrzegając, że punkt ciężkości sprawy polskiej przesunął się już oddawna z Krakowa do Warszawy, że nie od poddanej Austrji Galicji ale od bezpańskiego, biorąc prawnie, Królestwa lepić się musi Polskę. Gdy jednak przy rozwiązaniu, jakie lada chwila może nam przynieść życie, głos zjednoczonej w jednej instytucji narodowej Galicji jest głosem, którego nie może brakować, dalsze istnienie Naczelnego Komitetu Narodowego jest więcej niż pożytecznem, jest i będzie niezbędnem.

Stąd w ocenie najistotniejszych nawet win jego konieczna powściągliwość, stąd nakaz szukania raczej punktów stycznych niż przeciwieństw, któreby obóz antyrosyjski rozprzęgły do reszty.

W jednym tylko wypadku musiałby obóz demokratyczny wystąpić z całą bezwzględnością przeciwko Naczelnemu Komitetowi Narodowemu: gdyby ulegając wiedeńskim pokusom wystąpił w imię dzielnicowych swoich korzyści przeciwko powstającemu na terenie Królestwa państwu polskiemu.

Z frontu legjonowego.

Po ustąpieniu Komendanta.

Żeby zdać sobie sprawę z wrażenia jakie zrobiło na froncie ustąpienie Komendanta, trzeba wiedzieć co to jest zaufanie żołnierza do wodza, więcej: zaufanie legjonisty do komedanta Piłsudskiego. Żołnierz przykłada do rzeczy miarę nie nastroju lub poglądu nawet, lecz miarę rzeczywistości tak bezwzględnej, jaką jest rzeczywistość życia i śmierci. Pod probierzem tej miary autorytet Komendanta zahartował się w coś tak bezwzględnie pewnego i niezniszczalnego, że niech nie sądzi nikt, by można mu przeciwstawić—już nie osoby jakieś, ale rozumowania, formalnie pojętą karność lub nawet przywiązanie do służby. Takie chyba słowa: „my wszyscy z niego“—mogłyby służyć za uzasadnienie tego zaufania.

Żołnierz nie ma czasu na rozumowania polityczne i nie ma do nich ochoty, słuszność czynów poręczają mu fakta. Te fakta nauczyły go ufać bezwzględnie Komendantowi i jako wodzowi prowadzącemu go na bój i jako człowiekowi gwarantującemu mu wartość wysiłku i gotowości. Nikt w całej Polsce tyle nie naśmiał się z różnych drukowanych reklam o tem, jakie znaczenie polityczne mają Legjony, a nadewszystko ile ważne są rozmaite przyznane w ostatnich czasach koncesje w postaci n. p. odznak,—jak legjoniści sami. Legjoniści wiedzieli, że czyn ich ma wartość na przyszłość, dla stworzenia wojska polskiego — a że tę wartość ma, poręczał im fakt, że komendant Piłsudski stoi na ich czele. Stosuje się to nie tylko do bezpośrednio podległej mu I. Brygady, lecz do całych Legjonów.

Ale niebezpieczeństwa i ciężkie sytuacje żołnierz zna i odpowiada na nie nie zwątpieniem czy rąk opuszczeniem, lecz decyzją i działaniem. Było rzeczą charakterystyczną jak ta decyzja jednolicie wypadła: podawać się o zwolnienie z Legjonów; niema Komendanta—i nas niema, austrjackich legjonów z siebie zrobić nie damy; będzie wojsko polskie: wróci Komendant i my wrócimy. Całe kompanje zgłaszały się do raportu batalionowego i tam każdy motywował swą prośbę, albo motywował ktoś jeden w imieniu wszystkich. Inicjatywa wychodziła najczęściej od żołnierzy samych; potworzyły się w tym celu komitety w plutonach, kompaniach i batalionach. Gdzieniegdzie oficer widząc wrzenie i pewną nieporadność zapytywał o co chodzi i tem ułatwiał sytuację, z reguły jednak obchodziło się bez tego; oficerowie robili co uważali za stosowne i sami zgłaszali swe dymisje, ale na żołnierzy nie wpływali. W dwóch wypadkach — zamilczeć przystoi gdzie—stało się owszem przeciwnie: żołnierze wywierali nacisk na oficerów. Gdy doszła wieść, że w jakimś pułku bezradność się zakrada, szli koledzy do kolegów na radę. Zdarzało się, że żołnierz idąc „na agitację“ do sąsiedniego pułku meldował się u komendanta z czem przychodzi: kryć się nikt nie chciał, choćby komendant pułku był „departamentowiec“ i mógł pokusić się o zastosowanie represji.

W ten sposób zgłosiły dotąd podania o zwolnienie w całości pułki 1, 4, 5 i 6-ty piechoty, oba pułki kawalerji i pułk artylerji. Pułk 2-i uczynił to tylko częściowo, 3-ci wcale nie.

Przeciwdziałanie rozpoczęło się całkiem osobliwymi środkami. Bo cóż pomódz miało przeformowanie brygad tak, że żadna nie pozostała w swym dawnym składzie, utrwalonym i tradycjami i życiem i tworzącemi się na ich tle zwyczajami; rzecz sprzeczna z elementarnemi wskazaniami organizacji wojska była tu tem bardziej bezmyślnie użyta, że żołnierz przecie dobrze widział tło polityczne zarządzenia a z temi sztuczkami znał się od dawna, bo jeszcze od jesieni roku zeszłego, kiedy to Komendanta z jednym tylko pułkiem jego brygady i z pułkiem 4-ym posłano na osobne stanowisko. Cóż pomódz miało oddanie brygady I-szej niedorosłemu do tej roli, a wsławionemu intrygami pułkownikowi Januszajtisowi, albo importowanie z tyłów z najgorszej sławy „polityka departamentowego“ znanego pułkownika Sikorskiego, gdy jednocześnie usuwano pułkownika Sosnkowskiego i Roję. Albo czyż zastraszyć mogły żołnierzy takie sztuczki, jak zainscenizowanie przeniesienia Legjonów na inny front taką tajemnicą otoczonego, że do ostatniej chwili i żołnierze

i oficerowie z kompasami w ręku śledzili, w którą mianowicie jadą stronę świata.

Prócz środków represyjnych stosowano i środki łagodne, rzecz ciekawa: agitacyjne. Była więc odezwa brygadjerów, nawołująca do wytrwania w legjonach. Odezwę tę podpisał między innymi powszechnie lubiany pułkownik Haller, lecz nie wiadomo czy wyobrażał sobie, że zdoła słowem swojem kogokolwiek przekonać. Boć przecie wiedzieli żołnierze, że kilka tygodni temu tenże sam pułkownik Haller podpisywał memorjał do A. O. K. i do N. K. N., w których stawiano kwestję jasno: albo usamodzielnienie Legjonów pod własną komendą, albo rozwiązanie. Żołnierz przecie tak jak nikt inny rozumie, że aby kogokolwiek przekonać trzeba samemu być zdecydowanym człowiekiem.

Na nowych stanowiskach rozpoczął pułkownik Szeptycki, zastępca komendanta legjonów, osobistą agitację. Tak, to nie omyłka: agitację. Ale jakże nie do twarzy było jemu, pułkownikowi c. i k. sztabu generalnego, rola mówcy na zgromadzeniu, gdzie słuchać musiał przerywań i okrzyków, gdzie używać musiał wyświechtanych argumentów o Polsce „na pierwszego". Czyż nie lepiej było tę beznadziejną grę zostawić jakiemu departamentowcowi, choćby temu, który w myśl znanej piosenki, „ma dar oratorski".

Taki stan trwa do dziś. Podania o zwolnienie zgłoszone—czekają załatwienia; wojsko świadome jest, że swoim oporem zmusza do jasnego rozwiązania kwestji: albo wojsko polskie, albo niema nas — dość półsposobów, półśrodków, półobietnic; czeka, ale czeka niecierpliwie.

I niechaj nikt nie mówi o rozpolitykowaniu i upadku karności wojskowej. Polityki było właśnie tyle ile wojsku potrzeba: wychodziło ono dnia 6 sierpnia 1914 w pole z ideałem niepodległości w duszy i z entuzjazmem; wiara w cel i entuzjazm są kardynalną podstawą wojskowej moralności; bez nich wojsko to bezmyślna banda. Ale w podstawę tej moralności bić zaczęto od początku. Przemianowano ich w c. i k. Legjony — wytrwali, bo zrozumieli, że wobec ugodowości Galicji a bierności Królestwa jedyna to była droga; jej właściwość poręczała im osoba Komendanta. Szykanowano ich jako legjonistów, jako „bandę", zwłaszcza w czasach urlopów i chorób, na tyłach — żołnierz trwał, zdobył sobie sławę, zdobył uznanie w szeregach z natury rzeczy konserwatywnych regularnych oddziałów — on wtręt, ochotnik — i trwał zaciąwszy zęby. Intrygowano w jego szeregach, rozniecano ze względów politycznych sztuczne antagonizmy między brygadami, — żołnierz trwał i potrafił wszelkie antagonizmy i nieporozumienia wyrównać. Przenoszono go, łączono, dzielono, przeformowywano ze względów politycznych — żołnierz trwał, szemrał, śmiał się i żartował gorzko—i trwał. Osoba Komendanta poręczała mu owocność jego wysiłku, potrzebę wytrwania. Wszystkie podstawy moralności zdawało się już się wykruszyły. Z ideału niepodległości robiono co kilka tygodni powtarzaną nową gadkę o Polsce „na pierwszego", ideał wojska narodowego zredukowano do srebrnych odznak i wychwalano je w pismach polskich jako zdobycz narodową, uzupełnienia postawiono tak, że werbowano i nasyłano do szeregów rzezimieszków a, czasem — o hańbo — zdrajców. Pozostawał on jeden, poręka: Komendant. Gdy jego zabrakło — cóż dziwnego, że zachwiała się moralność.

Gotów jest żołnierz polski—legjonista dalej trwać, i nie tylko trwać: gotów jest wszystkie siły swe poświęcić na budowę wojska polskiego, siły, które pomnożyły się doświadczeniem, zapał, który dojrzał, — ale niechże raz ma podstawy swojej moralności: niech widzi, że wojskiem polskiem na prawdę ma prawo być, niech widzi na czele swoim ukochanego, poręczającego mu jego ideały i jego żołnierski honor Komendanta.

Listy z pola.

W lesie pod M... 18/VII 16 r.

Drodzy Moi!

Stoimy na biwaku. Las wołyński taki jak wszędzie. Ta sama smutna jego piosenka. Głosy ptactwa zlewają się z głuchym turkotem wozów, gwarem ludzi, rżeniem koni i t. p. odgłosami biwaku. Z tyłu pomrukują basem armaty... jakieś źrebię lata jak wściekłe z dzwonkiem na szyi i dzwoni. Słychać słowa piosenki „Żeń się, Jasiu, żeń się i t. d." Leżę na płaszczu na ziemi, z jednej mej strony bieli się rząd białych płacht namiotów, a z drugiej połyskuje zestawiona w kozły broń. Wszystko wygląda jakoś odświętnie, jak na zielone Świątki, bo jest umajone świeżo ściętemi gałęźmi brzozy, choiny. (Jest to ochrona i maska przed aeroplanami). „Wiara" śpi po nocnym marszu. — A ja muszę dokończyć opis bitwy pod Kościuchnówką...

Po odparciu ataku od czoła uwagę naszą zwrócił ruch w naszych okopach. Ordynansi nasi inspekcyjni, dyżurni, latają jak wściekli. Na lewo jeszcze „ura." Wszystkie twarze jakieś zmieszane. Ruch coraz większy. Wzdłuż linji idą meldunki i pytania. Odpowiedzi niema. Ludzie wszyscy na pół głusi. Krzyki i pytania krzyżują się i sypią jak kule. „Ura" coraz potężniejsze ale już jakoś z tyłu. Meldunki coraz śpieszniejsze. „Na prawo przerwali front. Lewe skrzydło się trzyma! Trzymać się. Moskale na tyłach. Nieprawda. Drugi nasz batalion zgęszcza naszą linję" i t. p. Naraz wątpliwości przecina odgłos strzałów rosyjskich z tyłu.

Zagrzebani głęboko w okopach i bez łączności na skrzydłach nie zauważyliśmy, i Moskale przerwali front gdzieś na prawo i odcinają nam drogi odwrotu i zaszli już całkiem na tyły. Wyskakuję na trawers i obserwuję.

Trzy gęste linje w bojowym szyku posuwają się wprost na nas. Odwrót odcięty. Polska Góra na prawo od nas jest podobna do roju pszczół lub rozgrzebanego mrowiska, tak jest pokryta jasno-zielonemi postaciami. Widzę dokładnie każdego pojedyńczego żołnierza. Czapka na bakier. Płaszcz zwałkowany przełożony z ramienia na brzuch. W jednej ręce łopatka, w drugiej karabin. Złowrogo błyszczą bagnety. Ale u nas też nie próżnują. Stalowe głosy oficerów i wskazują formacje. Bagnet na broń! Hurra! Naprzód! Polak bije! Ja ze swą sekcją posuwamy się naprzód rowem łącznikowym. Nasi żołnierze wyłażą już na wierzch z okopów i łączą się koło oficerów. Rzucają się z furją naprzód. Jastem w środku między naszą a wrażą linją. Moskale żegnają się i osadzają mocniej na nogach. Tchórzliwi uciekają. Cisza. Dwie linje zetknęły się. Szczęk broni. Jęki. Bagnety chciwie piją krew. Niema wątpliwości, kto zwycięży. Po trupach prze linja nasza choć rzadsza ale duchem mocna. Druga linja moskiewska. Znowu to samo. Niedobitki nasze rzucają się jeszcze na trzecią linję...

Ja w okopie mam też ciężką pracę; z każdego załomu lub przekopu wygląda kilka głów i bagnetów. Tylko naprzód... Strzał lub szybki cios i dalej. Moskale strzelają na oślep lub chowając głowy wołają „sdajsia!" Przez nich! po nich! Byle dalej! Okop zakręca. Niedobitki naszej linji są tuż przedemną. Kilkunastu Moskali atakuje mię z góry. My w okopie. Przewaga nasza.

Znowu dalej. Okop kończy się. Już niema linji komend, ani oficerów. Walka w pojedynkę. Jeden na pięciu. Do trzeciej naszej linji okopów prowadzą przez bagna dwie kładki. Resztkami tchu gonimy do jednej z nich. Na kładce ustawionych w klin stoi siedmiu Moskali. W środku tego brodacz, na piersi dwa „kresty," w oczach płomień nienawiści. Przystaję, aby zaczerpnąć tchu i zgromadzić kilku wokół siebie. Nasz kucharz kompanijny z chochlą od wydawania zupy pędzi jak wściekły wprost w klin. Moskale z krzykiem „granata, granata" skaczą w błota. Znowu kilka strzałów. Brodacz odwraca się i strzela. Dwa, trzy, cztery strzały i majestatycznie tonie w bagnie. Na kładce pomieszane leżą szare i zielone postacie. Wszyscy jeszcze żyją; jęki rannych, charczenie konających. Krzyki rosyjskie „pomiłuj!" i polskie „dobijcie!" Obok z bagna wystają ręce, czasem tornister, karabin lub czapka. Z bagnem też walka. Ludzie z obłąkaniem w oczach po pas, po piersi brodzą i zmierzają do kładki. Kto ma szczęście to żyw, a kto nie to pokryła go czarna lepka masa. Przepadł.

Przeskakując przez trupy pędzimy dalej. Potykam się i upadam. Podnoszę się. Jakiś młody Moskal biegnie ku mnie i woła „sdajsia." Przystanąłem. Moskal mnie zachęca „u nas dobre, dobre, sdajsia, my waszych nie wieszajem." Karabin mam pod pachą. Nie celuję. Trup. Biegnę dalej. Ślady walki. Trupy. Jakiś nasz oficer ze strzaskaną twarzą przez uderzenie kolby klęczy nieruchomy pod drzewem. Naokoło wianek trupów rosyjskich. Straszne. Tuż obok leży kilkanaście szczątków ludzkich. Nie można rozróżnić jakich. Pewnie granat ręczny. Znowu dalej. Naszych coraz więcej. Mały lasek i trzecia nasza linja obronna. Każdy dopada i rzuca się na ziemię znużony. Nasi jeszcze się cofają. Wyglądam z okopu i słyszę strzały. Widzę jak ludzie padają, ale świstu kul nie słyszę. Jakaś porwana kulą gałązka spada obok mnie. Strzelają do nas. Chowam się. Znowu krzyki. Oficerowie nasi wprowadzają porządek.

Podnoszę się i bez trudności odnajduje swój pluton—ośmiu ludzi. Jestem jedynym podoficerem, obejmuję więc komendę. Odbieram rozkazy. Wyznaczam dwu po wodę. Kilka łyków wody. Znacznie silniejszy i rzeźwiejszy orjentuję się. Zastawiam kozłami z drutów przejścia w drutach na odcinku swego plutonu. Posyłam po amunicję i po granaty. Dłuższa chwila ciszy. Od bagna ciągną jeszcze nasi ranni i zapóźnieni. Zmierzcha się. Przed nami jeszcze strzały i odgłosy walki. Pewnie jacyś zapóźnieni bronią się jeszcze. Na prawo znowu „ura." Artylerja zaczyna grać. Znowu jakiś ruch. Karabiny maszynowe odzywają się. Flegmatycznie, dokładnie. Nagle tuż przed nami z krzaków wylania się grupa ludzi. Za nią druga, trzecia. Zaczynamy strzelać. Znowu sprzeczne rozkazy: „gęsto strzelać!" „nie strzelać." „Moskale!" szósty bataljon się wycofuje." Postacie dopadają do drutów. Huragan ognia. Przez niezałożoną drutami lukę w lewo odemnie wdziera się z za drutu kilkanaście ciemnych postaci. Za nimi już całe masy. „Ura!" Rozkaz „cofać się!" Wyskakujemy z okopu i cofamy się. Wolno, spokojnie. Strzały ciągle. „Ura" aż świdruje w uszach. Las. Ziemianki. Komenda pułku. Zuchowaci. W drzwiach jednej z ziemianek stoi nasz ukochany podpułkownik Berbecki. Rewolwer w ręce, niedbale wsparty o drzwi. Postawa wyraża „nie cofnę się!" Oczy mówią z wyrzutem, „Ot! opuszczają mię moi zuchowaci!" Policzek. Jakiś elektryzujący głos woła „W tył zwrot! Naprzód Polacy! Hurra!" Osadza wszystkich na miejscu. Bez wahania rzucamy się w zbity kłąb ludzi. Kolbami, zębami, łopatkami. Jakaś masa ludzi osłaniając głowy rękoma ucieka. „Pomiłujtie!" Bić, bić! Zemsty za Polskę, za gwałty, za braci, za wszystko. Pędzę naprzód. Jakaś masa. Ręce, kolby, czapki, bagnety, plecy. Jakiś gorący oddech. Uderzenia kolbą. Upadam. Macam się, czym cały, podnoszę, biegnę dalej. Brak mi tchu. W oczach gwiazdy, w uszach dzwony. Ale Moskale wyparci.

Dopadamy do okopów. Ogień aż dudni. Paczkami. Moskale uciekli. Zajmujemy okopy i wyrzucamy trupy. Krótki rachunek z kilkoma rabusiami i maruderami rosyjskimi. Błogosławiona chwila spokoju. Woda. Liczymy się. Jednego brak. Siedmiu ze mną. Trzydziestu w całej kompanji. Wyrzuciliśmy przynajmniej z pięć razy silniejszego wroga. Zgłaszam się na patrol wprzód. Biorę jeńca i stwierdzam, że Moskale przyczajeni leżą o sto kroków od naszych drutów. Znowu ogień. Przychodzą posiłki i karabin maszynowy z piętnastoma ludzmi obsługi. Ustawiają karabin tuż koło mojego miejsca. Zaczynają strzelać. Pęd powietrza i huk jest tak silny, że nie mogę ustać. Najpierw odsuwam się a później kładę się wzdłuż w okopie. W uszach mi dzwoni jak na procesję Bożego Ciała w Kielcach. Jestem w półśnie. Budzi mię cisza. Czuję się silniejszym. Podnoszę się i obserwuję. Wzdłuż okopu widzę rząd ludzi, pochylonych nad karabinami. Twarze zastygłe w zmęczeniu, oczy błyszczą. Gdyby miały śmiercionośną siłę to całe to pole, Kościuchnówka, aż hen po Kołodję byłoby polem trupów. Przed nami jeszcze przytłumione strzały i detonacje granatów ręcznych. Pewnie jeszcze kilku odciętych i osaczonych broni się w jakim granatniku. Na przedpolu ruch, znoszą rannych. Przemykają się jakieś postacie. To patrole sanitarne. Moskale pewnie wycofali się dalej i zbierają swoich rannych, a mają ich niemało.

Kładę się i zasypiam znowu. Budzi mię jakiś ruch. Okopem przesuwają się nasi strzelcy. Drugi bataljon zuchowatych. Smigłe rosłe górale. W ręku karabin. Bagnet na broń. Za pasem granaty ręczne. Ten i ów gwiżdże lub śpiewa. „Hej z tamtej strony Od strony Tater!" albo „Pójdziemy z okopów na bagnety." Idą jak w taniec. Idą w ogień, do kontrataku. Idą wypierać Moskala i zemścić się nad nim. Rano będzie ciepło.

Całuję Was wszystkich
Władek.

Rycerz czy ciura obozowy?

Stoimy pono w przededniu ogłoszenia państwa polskiego. Słysząc o tem, nie wiemy jednak, czy pierwszą, najważniejszą funkcją mającego powstać państwa ma być szybkie i energiczne organizowanie armji polskiej, któraby w przymierzu z wojskami państw centralnych wzięła udział w wojnie z Rosją w celu nie tylko obrony go od ponownego podboju przez Rosję, lecz rozszerzenia granic tego państwa jak można najdalej na Wschód. Ogół, który do niedawna jeszcze z przerażeniem myślał o stworzeniu armji polskiej na usługach rządu polskiego, zaczyna się dziś niepokoić, nie mogąc wprost zrozumieć jak będzie wyglądać to

mające powstać państwo bez własnej armji. Któż bowiem będzie go wtedy bronił, któż będzie stał na straży jego godności i interesów? Jeśli nie będzie państwo polskie bronione przez własną armję, będą go broniły wojska państw centralnych — rzecz jasna nie bezinteresownie. Ogół to zaczyna rozumieć, jak zaczyna również rozumieć całą głupotę i szkodliwość solidarnej, zgodnej kontragitacji endecji i esdecji przeciwko armji polskiej, która według nich byłaby potrzebną nie narodowi polskiemu lecz Niemcom. Lecz czy istotnie tak jest, czy istotnie Niemcom tak zależy na stworzeniu dużej silnej armji polskiej, jakiej my, obóz niepodległościowy, żądamy?

Niemcy, rzecz jasna, obfitych rezerw mężczyzn w Królestwie nie myślą się wyrzekać. Gdyby mogły one urządzić w Królestwie przymusowy pobór do swego niemieckiego wojska, zapewne dawnoby już to uczyniły, jak również chętnie powitałyby zapewne powstanie przy swej armji ochotniczych legjonów polskich, które miałyby dla Niemiec ogromne polityczne znaczenie. Lecz ani jednego, ani drugiego Niemcy przeprowadzić nie mogą. Mają jednak inny sposób zużytkowania polskich sił męskich—mianowicie: w drodze werbunku do fabryk i kopalń w Niemczech. Przez to luzuje się niemieckich robotników i wysyła się ich do wojska. Ostatnimi czasy został jak wiadomo wydany w Warszawie rozkaz przymusowego werbunku robotników polskich do Niemiec. Narazie nieraźnie to idzie, ale w razie ogłoszenia państwa polskiego Niemcy będą mogły zażądać od jego rządu formowania z Polaków bataljonów robotniczych, któreby na froncie kopały okopy, pełniły służbę przy taborach, składach, magazynach—tem samem luzując dziś tyle uwięzłych przy tych zajęciach żołnierzy niemieckich.

Otóż Niemcy zapewne zgodzą się na rozszerzenie Legjonów drogą werbunku na ochotnika, lecz na tworzenie dużej armji polskiej, powstałej w drodze przymusowego poboru ogłoszonego i przeprowadzonego przez rząd polski, Niemcy zgodzą się jedynie pod silną presją i parciem ze strony społeczeństwa polskiego. W tem twierdzeniu niema nic dziwnego, gdyż *nie leży w interesie Niemiec w chwili obecnej silna armja polska.* Niemcy, myśląc o ogłoszeniu państwa polskiego mają na względzie przedewszystkiem nie stronę militarną, lecz stronę polityczną tego faktu. Niemcy zupełnie słusznie liczą na to, że sam fakt proklamowania państwa polskiego wstrząśnie głęboko całą Europą, da państwom centralnym atut do propozycji pokojowych, gdyż tym faktem udowodnią one najwidoczniej, że żadnych aneksyjnych zamiarów nie żywią. *Niemcy przez ogłoszenie państwa polskiego chcą nie przedłużyć wojnę lecz skrócić.* Brać się do organizacji dużej armji polskiej to znaczy świadomie odsuwać koniec wojny do przyszłej wiosny, a więc niemal o cały rok, gdy tymczasem Niemcy pragną skończyć wojnę jak najprędzej. Niemcy widmem armji polskiej, groźbą, że przystąpią do jej organizowania, będą straszyły Rosję, będą zmuszały ją do pokoju. I dopiero wtedy gdy groźby zawiodą, gdy Niemcy przekonają się, że wojna potrwa jeszcze długo, wtedy dopiero pod presją sytuacji mogą przystąpić do organizacji armji polskiej—ale wtedy może być już za późno.

To jedna, czysto militarna strona rzeczy. Lecz idąc dalej widzimy, że i z politycznego punktu widzenia Niemcom nie zależy bardzo na armji polskiej, bowiem mające powstać państwo polskie bez własnej armji będzie do końca wojny w ręku niemieckiej dyplomacji posłusznym, uległym atutem politycznym. W państwie polskiem bez własnej armji Niemcy będą mogły oprzeć się na dogodnych dla siebie, bo uległych stronnictwach konserwatywnych, gdy tymczasem silna armja polska może powstać w drodze przymusowego poboru, a więc przy udziale szerokich mas ludowych. Innemi słowy przy tworzeniu silnej armji polskiej trzeba odwołać się do mas ludowych, wciągnąć je do współudziału w organizowaniu państwa, a więc trzeba będzie wtedy odrazu dać ludowi takie polityczne i społeczne koncesje, które przekonałyby go, że w tem państwie będzie mu dobrze, a więc iż lud we własnym interesie musi tego państwa bronić. Aby jednak tak było trzeba zaraz do rządu powołać partje demokratyczne posiadające zaufanie tych mas. Rządowi niemieckiemu w dużej mierze konserwatywnemu, rzecz jasna, bardziej uśmiecha się uległy rząd prawicy, aniżeli na domagającej się uwzględnienia narodu polskiego demokratycznej lewicy oparty. To drugi wzgląd, który nie zapala Niemców do tworzenia armji polskiej.

Następnie, jeżeli państwo polskie nie będzie miało własnej armji i do ostatniej chwili będzie bronione wyłącznie siłami państw centralnych, wtedy będą one miały prawo w przyszłości żądać od tego państwa za powołanie go do bytu i obronę, wielkich dla siebie zapłat, tem większych i uciążliwszych, że w gruncie rzeczy będzie można *bezbronnemu* społeczeństwu polskiemu dyktować warunki i rozmiary tych zapłat—bez żadnych ograniczeń.

Ziemia polska jest tak bogata i obfita, że warto dziś bronić jej mieszkańców nie chcących samym walczyć o swoją swobodę, w nadziei że za to później można będzie ciągnąć z tej ziemi wielkie zyski. Odwrotnie, jeśli powstanie armja polska, która przyjmie udział w wojnie z Rosją, to wtedy ostateczne zwycięstwo nad Rosją będzie *zasługą już nie tylko Niemiec i Austrji, lecz i Polski* — a więc i Polska będzie musiała otrzymać udział w podziale owoców zwycięstwa.

Poza tem za każdą nową dywizję, za każdy nowy korpus państwo polskie będzie zdobywało od Niemiec coraz to nowe koncesje polityczne, coraz większą samodzielność. Widzimy to na przykładzie Austrji, jak za militarną pomoc musi się płacić nieraz suto w dziedzinie politycznej. I wogóle zgoła inną będzie postawa narodu polskiego w chwili zawierania pokoju zależnie od tego, czy będzie on miał własną armję czy nie. Jak nie będzie miał armji, będzie musiał przyjąć to, co mu przyznają inni, z tej prostej przyczyny, że kongres z żądaniami bezbronnego narodu, który nie chciał brać nudziału w wojnie, poprostu nie bardzo się będzie liczył. Zgoła inna będzie psychologja narodu polskiego mającego własną siłę zbrojną, okrytą sławą w wojnie z Rosją. Urośnie on wtedy we własnych oczach, będzie sam siebie wyżej cenił, większe stawiając sobie zadania i większe przyjmując na siebie obowiązki. Naród polski, mając armję, która narówni z wojskami państw centralnych walczyłaby z Rosją, siłą rzeczy będzie żądał od tych państw traktowania siebie jako równego sprzymierzeńca, i nie będzie się zgadzał na opiekę, na kierowanie sobą przez te mocarstwa, bo poprostu tej opieki nie będzie potrzebował. — Naród, który potrafi wystawić własną armję, utrzymać ją — taki naród daje tem samem najwyższy dowód, że całkowicie zdolny jest do samodzielnego bytu państwowego, do kierowania swoimi losami. Nie dając dowodów samodzielności, musimy przyjąć obcą opiekę. Początek tego mamy już w kursach dla urzędników polskich, gdzie chociaż językiem wykładowym będzie język polski, gdzie wykładać będą polscy profesorowie, ale system organizacji tych kursów będzie niemiecki. Niemcy nie wierzą dość w nasze zdolności administracyjne, uważają

że trzeba je w nas dopiero wykształcić. I tak może być we wszystkiem.

Jedyne wyjście z tego — żywiołowy pęd narodu polskiego do niepodległości, żywiołowy pęd do stworzenia armji polskiej, do czynnego udziału w tej wojnie przeciwko Rosji, która nie chce bo nie może zgodzić się na naszą niepodległość. Przed takim żywiołowym pędem Niemcy ulegną — bo w rezultacie lepszy jest dla nich silny, mocny sojusznik, aniżeli państwo — niemowlę, którem dziesiątki lat trzeba się opiekować.

Niestety dotąd tego pędu w narodzie polskim nie widać. Z drugiej strony widzieliśmy jakie trudności dla Niemiec przedstawia sprawa armji polskiej. By powołać do życia armję polską, trzeba rozpętać w ludzie polskim wszystkie jego siły, wydobyć z niego maximum energji, poświęcenia i patrjotyzmu. To tylko, raz jeszcze powtarzamy, mogłyby Niemcy uczynić przez oddanie władzy w państwie polskiem w ręce żywiołów demokratycznych. Lecz niestety Niemcy widzą naszą słabość — i dla tego sami jako żywioł konserwatywny, wolą zwrócić się do prawicy i prowadzić układy o objęcie przez nią rządów w przyszłej Polsce. Na pozór, ale tylko na pozór musi wydawać się rzeczą dziwną, że Niemcy zwracają się do moskalofilskiej prawicy, która jest przeciwna organizowaniu armji polskiej, przeciwna udziałowi narodu polskiego w wojnie z Rosją. Niemcy wiedzą, że prawica, obejmując władzę w Polsce, nie zgadza się na przeprowadzenie przymusowego poboru do armji z tej prostej przyczyny, że lud do rządów różnych hrabiów i książąt, przy ich smutnych tradycjach i „zasługach“ wobec narodu, nigdy nie będzie miał zaufania; wiedzą również, że prawica nie chce czynnego udziału Polaków przeciwko Rosji, aby w razie zwycięstwa tej ostatniej módz przed nią tłómaczyć się, że niepodległość Polsce narzuciły państwa centralne. Niemcy to wszystko wiedzą, ale liczą, że same dadzą radę Rosji bez armji polskiej, jak również wiedzą to, że ta sama prawica za władzę daną jej stanie się z moskalofilskiej prusofilską, a co najważniejsze będzie ulegać Niemcom jak ulegałaby każdej sile. Niemcy wiedzą, że tylko prawica podejmie się po ogłoszeniu państwa polskiego formować na żądanie Niemiec z ludności męzkiej bataljony robotnicze i wysyłać je na front do kopania okopów albo do Niemiec do fabryk amunicji.

I rzeczywiście po ogłoszeniu państwa polskiego będziemy musieli iść albo do armji polskiej, albo do bataljonów robotniczych. Istotnie nie może być, żeby Niemcy musieli i sami bronić nowego państwa polskiego i sami pracować na nie — nie mając z niego żadnej dla siebie pomocy. Otóż wykazaliśmy, że dla Niemiec sprawa armji polskiej nie jest rzeczą nader ważną, że odwrotnie wyciągnięcie mężczyzn z kraju jako robotników do Niemiec i na tyły, jako ciurów obozowych — jest rzeczą znacznie łatwiejszą i bardziej pożądaną, bo przez to naród polski nie zdobędzie sobie prawa wyjścia z pod ich opieki. I oto jeśli myślimy o państwie polskiem, to myślmy jednocześnie o tem, kim chcemy być w nim: czy żołnierzami polskimi pod rozkazami własnego rządu bijącymi się o niepodległość swej ojczyzny, czy tylko ciurami obozowymi pomagającymi innym silniejszym wyzwalać nas z niewoli. Sądzimy, że odpowiedź jest jasną. A więc należy zbijać bajkę jakoby Niemcom zależało na silnej, dużej armji polskiej. My wierzymy, że zbudzi się duch rycerski w narodzie polskim, że z pogardą i oburzeniem odrzuci on wszystkie zakusy Niemców wyzyskiwania nas jak ludzi gorszej rasy, zdolnych nie do oręża, lecz tylko do łopaty. Musimy dążyć do wytworzenia silnej armji polskiej — musimy dążyć do tego, aby Niemcy zrozumieli, że lud polski nie upadł tak nisko, aby spełniać rolę knechtów przy armji niemieckiej i austrjackiej, że *nie pójdzie* on do szeregów bataljonów robotniczych, lecz *pójdzie* chętnie do szeregów własnej armji.

Ale aby chłop i robotnik polski szedł do tych szeregów musi mieć nad sobą rząd, któremuby ufał — a więc rząd demokratyczny, szczerze niepodległościowy. Dla tego Niemcy muszą zaniechać wszelkich konszachtów z prawicą polską tylekroć skompromitowaną w oczach narodu, poniewierającą jego godnością, płaszczącą się przed obcą siłą. Chodzą pogłoski, że Niemcy i prawica godzą na ogłoszenie państwa polskiego, na rozszerzenie Legjonów drogą dalszego werbowania ochotników.

To jednak musi być odrzuconem — nie może być aby w tym przyszłem państwie polskiem bronił go tylko ten kto zechce — bronić swojej Ojczyzny musi każdy do kogo o to zwróci się jego rząd. Armja powstała drogą werbunku byłaby małą, a po drugie wyciągnęłaby z kraju najbardziej patrjotyczny, najbardziej ofiarny element młodzieży — powtórzyłoby się to, co było w Legjonach — gdzie doktorzy filozofji byli żołnierzami przy taborach i kuchniach. Prawicy może bardzo zależeć na tem, aby i nadal najbardziej żywy element był poza krajem — ale dobro całego narodu wymaga czego innego — powstania w przyszłem państwie polskiem dużej silnej armji, co można uskutecznić jedynie w drodze przymusowego poboru. Ale tę armję naród może oddać tylko takiemu rządowi, któremuby ufał — prawica zaś niema po temu żadnych kwalifikacji.

Kłamstwem cały świat przejdziesz, ale do domu nie wrócisz...

Przysłowie to prawdziwe jest i w czasach pokojowych, tylko, że wówczas dłużej trwa, nim prawda na wierzch wypłynie. Podczas wojny idzie to szybciej... Kłamstwem drukowanem i kłamstwem ustnem walczą dziś coraz więcej i coraz usilniej wrogowie Piłsudskiego i tej idei, którą wyobraża. „Piłsudski został usunięty za nieusłuchanie rozkazu... Piłsudskiemu ofiarowano dywizję, a on jej dla wyższych ambicji przyjąć nie chciał, Piłsudski chce walczyć na trzy fronty, Piłsudski nie chce walczyć wcale, ustępuje neutralnym“ i t. d. i t. d. Nic nie szkodzi, że każde zdanie przeczy następnemu: w dzisiejszym zamęcie i taka broń się przyda, gdy sam rozwój wypadków złamie broń prawdziwą, broń przekonań i idei. Więc nie wstydzą się ci panowie powoływać się nawet na nieistniejące dokumenty, aby dowodzić naiwnym, że nie Piłsudski sam wniósł dymisję dla ideowych względów, a otrzymał ją dla małych względów wojskowej niesubordynacji... Nie wstydzą się jawnemi kłamstwami i tajnemi intrygami zwalczać wodza Polski walczącej, a równocześnie udawać, gdy trzeba, że są po jego stronie, że bronią go od upadku... Dochodzi do tego, że czyta się żołnierzom sfałszowane pismo od Komendanta, aby ich w błąd wprowadzić! Nie zdołają środki takie przerwać węzłów między żołnierzem polskim, a wodzem. Zbyt głęboko wrosły one w duszę żołnierstwa polskiego. Mogą jednak mącić w duszach tych ludzi, którzy do czynu się budzą... Dla ludzi zaś politycznie więcej wyrobionych ma się znów inne kłamstwa na pogotowiu, kłamstwa wyższego rzędu. Oto przepiękne i wytworne artykuły o korpusie polskim, powódź notatek i arty-

kułów o tej zdobyczy narodowej, która już już z Legjonów czyni armję polską... Albowiem nie każdego dojdzie krótkie wyjaśnienie urzędowej gazety austrjackiej „Fremdenblattu“, gdzie stwierdzono węzłowato, że „dotychczasowa istota Legjonów nie została naruszona“ i że „wszystkie dalej sięgające wnioski są bezprzedmiotowe, dopóki losy Polski nie zostaną rozstrzygnięte“.

Ale jak powiedzieliśmy wyżej, w czasie wojennym wypadki idą szybko po sobie i szybko odkrywają fałsz i obłudę. Stąd mogą się rodzić nawet sytuacje komiczne. Damy przykład, jeden z mniejszych. Zdarzyło się „Strażnicy“, pismu gorliwie zwalczającemu ruch niepodległościowy, że na początku numeru umieściła przemądry, a perfidny i kłamliwy artykuł o Piłsudskim, a już na końcu tego numeru umieścić musiała wiadomości, które w niwecz obracają wszystkie jej kłamane dowody. Z widocznem zakłopotaniem donosi się tam o posiedzeniu Koła polskiego. Wierzymy, że trudno było strawić fakty, które dobitnie wykazały głęboką słuszność stanowiska Komendanta, a które skonstatowała instytucja tak bliska „Strażnicy“ orjentacją... Trudno było na poczekaniu wymyślić nowe krętactwo wobec uchwały Koła wyrażającej votum nieufności austrjackiemu ministerstwu spraw zagranicznych, wobec zdań padających na posiedzeniu poważnej polskiej instytucji, jak n. p.: „J. E. Biliński nie wie, co będzie z Legjonami, gdzie i pod jakim sztandarem będą walczyły. W Legjonach jest wielkie rozgoryczenie; gdy się dowiedzą, co się tu dzieje, będzie źle. Żal i ból mną targa, gdy słyszę słowa Jaworskiego: Maul halten und weiter dienen...“ (Zamknąć pysk i służyć dalej.) Słowa te posła d-ra Dobrowolskiego nie należały wcale do najostrzejszych wygłoszonych przeciw dotychczasowej polityce.

Ludzie ideowi, kiedy zapadnie się podstawa ich działania, przyznają to otwarcie i szukają nowej.

Ludzie mali kłamią.

Z CAŁEJ POLSKI.

W zeszłym numerze ogłosiliśmy nadeszłe w ostatniej chwili wiadomości o historycznych posiedzeniach Koła Polskiego d. 3 i 4 b. m., na których po raz pierwszy obejrzeli się politycy galicyjscy na drogę, którą prowadzili społeczeństwo polskie od chwili wybuchu wojny i zawahali się, czy droga ta jest istotnie drogą wskazaną. Drukując jednomyślnie niemal przyjęty wniosek, do którego doprowadziły obrady, pos. Witosa, umieściliśmy go w tej formie, w jakiej jedynie podówczas do Warszawy doszedł i w jakiej wogóle był ujawniony. Okazało się potem, że był to pierwotny tekst wniosku, który później po wspólnych ustępstwach wchodzących w skład Koła grup politycznych zmieniony został w sposób następujący:

„Idąc za głosem obowiązku i miłości ojczyzny, posłuszny wezwaniu swych kierowników, złożył naród polski w obecnej wojnie ofiary, przechodzące nieraz jego siły. Świadczą o tem tak liczne pobojowiska, obficie krwią polską skropione, jak bohaterskie wysiłki Legjonów i męstwo żołnierzy Polaków, oraz zgrozą przejmujące zniszczenie szerokich ziem polskich. Wszystko to uczynił w przekonaniu, że z tych ofiar krwi i zniszczenia wyjdzie Polska wolna i niepodległa.

Na tem stanowisku wytrwało Koło Polskie niezłomnie, mimo zmiennych wojny kolei i zmiennego też stanowiska rządu, który niejednokrotnie tolerował nadużycia organów państwowych, naruszających prawa obywatelskie, konstytucją zagwarantowane.

Wobec wojny dotychczas nierozstrzygniętej i rozlicznych możliwości dalszego ukształtowania się stosunków Koło Polskie stoi dalej niezłomnie na swojem zasadniczem stanowisku w sprawie polskiej i protestuje przeciw wszelkim zamiarom rozdziału ziem polskich“.

Wniosek ten był istotnie kompromisowy. W rzeczywistości wszyscy niemal mówcy, jacy uprzednio głos zabierali, występowali w sposób daleko ostrzejszy. Gdy niektórzy z nich jednak, jak sam prezes Biliński, German i inni zwracali głównie ostrze swoich ataków przeciw ministrowi spraw zagranicznych, Burianowi i wogóle niedołężnej polityce Austrji, inni szli dalej, krytykując w sposób najzupełniej bezwględny i sfery kierownicze polityki polskiej w Galicji i sam program, na którym dotychczas stało Koło Polskie i Naczelny Komitet Narodowy. „Winniśmy my, mówił pos. Marek, którzy robiliśmy politykę dzielnicową, niewolniczą, konserwatywno-krakowską, Legjony zaś wyszły z hasłem walki za wolność Polski. To, co nam przedstawiono, jest bankructwem naszej polityki. Nie zbankrutowaliśmy dlatego, że był to program austrofilski, lecz dlatego, że już w założeniu nie był czysto polski“.

Wypowiadano najdalej idące wątpliwości w sprawie Legjonów. „Co się ma stać z Legjonami, pytał pos. Śliwiński, co ma być ich podkładem, za co będą walczyły? .. Gdybyśmy mieli powodować się hasłem: wytrwać i walczyć tu w Austrji, gdzieśmy dali Legjony, to ja tego rozumem moim pojąć nie mogę“.

Groźba rozdziału Królestwa od Galicji wzbudzała powszechne oburzenie. Wzmiankowane przez prez. Bilińskiego rozszerzenie w takim razie swobód politycznych w Galicji odrzucono jako niegodne, nędzne wyjście dla wielkiego, czującego swą odrębność narodu. „Austrja nas chce osłabić, mówił jeszcze pos. Śliwiński, by nad nami przejść do porządku... Austrja nie miała żadnej innej orjentacji, jak podział Królestwa, a jeżeli politycy z N. K. N. tego nie widzieli, to nie mieli oczu. Lecz wiedzieć chyba musimy, że byli ludzie co przestrzegali, lecz tych ludzi stawiano poza nawias“. „Cała ta koncepcja (raj w Galicji), twierdził jeden z najbardziej umiarkowanych posłów dr. German, to owoc systemu austrjackiego, który upadła nam charaktery i dusze. Gorszy dla nas, niż buta pruska, gorszy nawet niż barbarzyństwo rosyjskie“. „Przez dwa lata żyliśmy, mówił Witos, złudzeniami. Gdyby tu nie szło o sprawę wielką, to złudzenia te nie byłyby przykre, lecz że tu jest w grze cała przyszłość Polski, to boli... Działanie i postępowanie polityków naszych tutaj tamuje życie i rozwój i nie może doprowadzić do dobrego... Stwierdzić muszę, że nasi naczelni politycy nie nosili godności narodowej tak wysoko, jak na to zasługiwała“.

Nie poszło Koło Polskie tak daleko, jak iść było powinno. Nie wyprowadziło takich wniosków, jakie się po wypowiedzeniu uwag powyższych cisnęły na usta. Ale niewątpliwie nastąpił przełom, zmieniła się atmosfera i wolno mieć nadzieję, że w niedalekiej przyszłości porozumienie z tak zwaną polityką Królestwa będzie łatwiejsze, że przy najszerszem uwzględnieniu żywiołowego ciążenia ku sobie dwuch dzielnic rozdartej Polski będzie się rozumiało, iż można szczęście kraju upatrywać w czemś więcej, niż we włączeniu go bez zastrzeżeń do monarchji habsburskiej.

Zapewne, jest to jeszcze sprawa dalszej przyszłości. Na razie w kwestjach bieżących, w najważniejszej zwłaszcza, najdrażliwszej kwestji legjonowej stoi Koło Polskie i N. K. N. na stanowisku wręcz przeciwstawnem temu, na jakim stanęła lewica niepodległościowa. W uchwalonej d. 14 b. m. rezolucji wzywa Komisja Wykonawcza N. K. N. żołnierzy polskich do bezwzględnego wytrwania, twierdząc, że „od zachowania się Legjonów Polskich zależy w znacznej mierze uznanie świata, czy naród polski zdolny jest do stworzenia swojego państwa“. Wniosek pos. Daszyńskiego żądający wstrzymania werbunku został poparty tylko 3 głosami przeciwko 8. Zaznaczyć jednak należy, że i uchwała Komisji Wykonawczej żąda tylko utrzymania Legjonów, nie nawołując do ich rozszerzania.

Mniej wstrzemięźliwie zachowywał się do ostatniej chwili Dep. Wojskowy i wszystkie kierownictwu jego podległe grupy i pisma. Reskrypt cesarski o utworzeniu polskiego korpusu posiłkowego otrąbywano do znudzenia jako walne zwycięstwo, jako „przedostatni krok“ do utworzenia państwa i armji polskiej. Gorzki kres położył temu komunikat wiedeńskiego „Fremdenblattu“, który jak wiadomo jest organem austrjackiego ministerstwa spraw zagranicznych i którego głosu zlekceważyć żadną miarą nie można.

„Znane obwieszczenie — pisze „Fremdenblatt“ — głównodowodzącego armją o przekształceniu Polskich Legjonów na korpus pomocniczy, pozostający dotąd w związku z c. k. armją, było niejednokrotnie źle tłomaczone. Wobec tego należy stwierdzić, iż dotychczasowa istota Legjonów nie została naruszona przez to, że uprawnione narodowe życzenia zostały uwzględnione, a jednocześnie Legjony otrzymały zasłużoną nagrodę i uznanie za ich waleczne zachowanie się podczas wojny. Wszystkie dalej sięgające wnioski są bezprzedmiotowe, dopóki losy Polski nie zostaną rozstrzygnięte. W międzyczasie Austro-Węgry i Niemcy będą usiłowały podobnie jak przedtem w wiernem przymierzu i całkowitem porozumieniu doprowadzić kwestję polską do zadowalniającego i wszystkie faktyczne stosunki uwzględniającego rozwiązania“.

Jeżeli się uwzględni, że zasługą polityka jest nietylko rzetelne w stosunku do swojego społeczeństwa stawianie sprawy, ale i sztuka umiejętnego rozumienia wypadków, które się przed nim

przesuwają, trzeba przyznać, iż los tych wszystkich proroków nie jest szczególnie godnym zazdrości.

Zwłaszcza, że wyjaśnienia Austrji wypadły właśnie w chwili nabierania coraz większego rozmachu w akcji wiecowo-odezwowej, skierowanej coraz gwałtowniej przeciw „rozbijaczom legjonów". Świeżo ukazały się odezwy Ligi Państwowości, Klubu Państwowców w Warszawie i p. Aleksandra Zawadzkiego, który zabrał głos w imieniu Narod. Związku Chłopskiego, roztopionego już zresztą jak wiemy oddawna w Polskiem Stronnictwie ludowem. Wszystkie te wielce uroczyste głosy chcą przekonać społeczeństwo, że sprawa jest ubita, byleby chcieć po nią sięgnąć ręką. Odpowiedź, jaką przyniosło życie, jest zaiste dość twardą.

Wszystko to niestety, przyczynia się ku wzmożeniu zamętu i tak już nazbyt groźnemu w życiu Polski obecnej. Jedynym stałszym punktem, ostoją i nadzieją na przyszłość są mnożące się z dnia na dzień oznaki bezgranicznej czci i ufności, jaką coraz szersze koła w Polsce otaczają postać twórcy naszego zbrojnego czynu — Józefa Piłsudskiego.

D. 9 b. m. odbyło się w Krakowie wręczenie Komendantowi złotego medala i adresu z 50000 podpisów tych, którzy w nim widzą wodza narodu. Dzień przedtem Wydział Narodowy Lubelski powziął między innemi rezolucjami uchwałę następującą:

„W dążeniu do utworzenia polskiej wojskowości walne zebranie W. N. L. daje wyraz głębokiej wierze, że żadne, nawet najboleśniejsze ciosy nie są w stanie sprowadzić nas z drogi budowania niezależnej polskiej armji. Zebrani w dn. 8 X. 1916 r. na walnem zebraniu Lubelskiego Wydziału Narodowego stwierdzają, że naszym Wodzem, który podjął niepodległościowe hasło i dążenie narodu polskiego w momencie wielkiej zawieruchy wojennej jest komendant Józef Piłsudski, że za nim stoimy, że za nim pójdziemy tam, gdzie On nas poprowadzi"!

Mniej uroczyście, ale niemniej stanowczo zaprotestowali mieszkańcy największej w Królestwie wsi Sułoszowy, która dała legjonom kilkudziesięciu ochotników. Zażądali oni od władz austrjackich zwrotu swych synów, oddanych do szeregów tylko przez bezwzględne zaufanie do Piłsudskiego. Wizyta i perswazje delegata komendy obwodowej nic nie pomogły.

Ze świata.

Wobec względnego zastoju na frontach wojennych oczy świata z silniejszą uwagą zwracają się ku sprawom polityki i dyplomacji. Jedną z najważniejszych dla całego europejskiego układu sił jest w momencie dzisiejszym nasza sprawa. Z dwuch powodów. Po pierwsze, jak świadczy szereg objawów, a najdobitniej oświadczenie dr. Bilińskiego na ostatniem posiedzeniu galic. Koła polskiego, Niemcy wzięły rozstrzygnięcie w sprawie Królestwa w swoje ręce, Austrja musiała ze swoimi planami ustąpić. Chwila przełomowa, w której się dziś znajdujemy, zapowiedź ogłoszenia niepodległości Królestwa wywołała żywy ruch w prasie francuskiej, która nagle zainteresowała się bardzo naszym losem. Poza słowami sympatji znać tam na każdym kroku wielką obawę przed powstaniem wojska polskiego, które mogłoby walczyć przeciw rosyjskiemu sprzymierzeńcowi. Za prasą francuską poszła rosyjska. Z szerokich, a nieskończonych rozpraw okazuje się, że w Rosji zastanawiają się, czy nie ogłosić jakiego nowego oświadczenia, którem możnaby zamęt czynić w narodzie polskim, skoro już nic nie można czynić siłą.

Druga sprawa, która dziś kwestję polską na pierwszy wysuwa plan, to szukanie dróg porozumienia między Niemcami a Rosją, które, choć nie wiemy, czy ma dzisiaj możność urzeczywistnienia się, ma pewne podstawy w stosunkach i poważnych czynnikach obu państw. Dla nas znaczy to w dzisiejszej sytuacji wojennej i politycznej, że sprawa naszych granic wschodnich, sprawa Litwy, Chełmszczyzny i Lwowa stoi lub stanąć może w najbliższym czasie na porządku dziennym, aby być zadecydowaną, może na wieki... I tu okazuje się, kto jest w dzisiejszym układzie rzeczy naszym najgłębszym, najistotniejszym wrogiem.

Dążeniem narodu polskiego musi być uzyskanie wolnego, niepodległego państwa. Ponadto tego, aby ten nowy gmach państwowy jak najwięcej Polaków budowało i w nim mieszkało. W tych dążeniach naszych mamy do czynienia z jednej strony z mocarstwami centralnemi, z Niemcami, Austrją, Węgrami, z drugiej zaś strony z Rosją.

Siłą faktów wojennych znaleźliśmy się w obrębie mocarstw Europy środkowej. Z tego faktu, że jest to związek mocarstw, a nie jedno mocarstwo, wynikają dla nas niezmiernej wagi następstwa: Niemcy mogą mieć nad nami chwilowo władzę, z wszystkiemi jej skutkami, ale nie mogą nas pochłonąć jak Rosja, tak z powodu mniejszej liczebności swej, jak i ze względu na związek środkowo-europejski, na którym muszą się opierać. Stąd płynie w dobrze zrozumianym, własnym ich interesie zapowiedź ogłoszenia niepodległości Polski.

Następstwem środkowo-europejskiego układu sił jest dalej co do Austrji, że jeśli nawet nie odstąpi nowemu państwu polskiemu Galicji, walka polityczna o Galicję w obrębie związku środkowo-europejskiego możliwą jest podczas wojny czy po wojnie bez czekania na nową katastrofę światową. Również i co do Poznańskiego sami Niemcy przyznają, że los Polaków musi się tam zmienić, skoro Polska będzie z Niemcami w jednym związku Europy centralnej. W obrębie związku tego niezałatwione sprawy nasze siłą faktu pozostaną płynne, będą miały możność rozwoju.

Natomiast widocznem dziś już będzie dla każdego, który tworzący się w oczach naszych układ stosunków bierze za podstawę, że każda piędź ziemi pozostawiona Rosji będzie stratą narodu na nieprzewidziane czasy. Gdy już raz nowa równowaga europejska nastanie, tylko nowe zachwianie tej równowagi mogłoby niezałatwione rachunki nasze z Rosją znowu na porządek dzienny postawić.

Dla tych to powodów walczące organizacje ludu polskiego stają zdecydowanym frontem przeciw Rosji. Dlatego też idą ze związkiem mocarstw centralnych. Ze związkiem mocarstw, ale nie z jednem z nich. Nie chcą czynić ze sprawy polskiej ani sprawy pruskiej, ani austrjackiej, ani węgierskiej, a postawić ją na równych prawach obok innych narodów środkowej Europy, czyli prowadzić politykę polską. Zbliżające się ważne chwile w naszej sprawie czynią, że najszersze uświadomienie w tej dziedzinie staje się najpilniejszą naszą potrzebą narodową.

Biez.

W menażerji.

Dziwił się człowiek, że małpa w niewoli
Skacze, figluje, swawoli.
— Bo — rzekła — patrząc na cię, cieszę się ogromnie,
Żeś taki podobny do mnie.

Obawa niewolnika.

„Trwoży mię rzecz nowa!
Nie wiem, czy Polska pańska będzie, czy ludowa!"
Niewolniku! Będzie, jaką sami
Dzisiaj będziecie tworzyć własnemi rękami.

Kret i orzeł.

Nieszczęsne stado zwierząt zabłąkane w lesie
Czekało zbawiciela, co je wyprowadzi...
Pierwszy zjawił się kret. Pomoc braciom niesie,
Ślepem oczkiem mrugając rozumnie im radzi:
„Ja wam tu zaraz drogi podziemne wyryję,
Których nie odkryją drapieżne bestyje!
Wszystkim się będzie zdawać, żeśmy pozostali,
A my się będziem wolno naprzód posuwali,
To tędy, to owędy, to w dół, to do góry,
Jak umie który!
Nie wiele lat minie,
A każdy wyjdzie na wierzch, kto nie zginie
W tym krótkim terminie"!
Wytrawna mowa kreta tak pełna rozumu
Jakoś nie pocieszyła zbiedzonego tłumu...
Wtem orzeł załopotał skrzydłami na niebie!
„Kto chce wyjść na świat Boży, niech w ziemi nie grzebie!
Jam wodzem! Prostą drogą w kraj wprowadzę nowy!
Lecz jednej rzeczy trzeba: W górę podnieść głowy"!

Bajeczka.

Pytał głupi mądrego: na co wojsko zda się?...
Mądry tłómaczył jak umiał.
Głupi, do końca wojny pytał: po niewczasie —
Idąc w sołdaty — zrozumiał.

UNIWERS

Cena 20 gr.